

PODANO JEJ POMOCNĄ DŁOŃ

Trzy tygodnie temu w artykule Celestyna Skołady pt. „...Ciąg dalszy” pisaliśmy o niewidomej dziewczynie z powiatu tureckiego, która wskutek bezduszności rodziny nie mogła się dostać do zakładu szkoleniowego dla niewidomych. Artykuł nasz był niejako praktyczną kontynuacją literackiej fikcji opowiadania Leszka Proroka pt. „Więcej światła” z tomu „Krewniacy”. Trzeba przyznać, że nasze władze oświatowe bardzo szybko zareagowały na sygnał „Głosu Wielkopolskiego”. Już po tygodniu bohaterka opowiadania Helena Kotońska (w opowiadaniu Helena Matysik) znalazła się — przewieziona samochodem WRN — w szkole, gdzie nareszcie będzie mogła zdobyć upragnioną wiedzę i zawód. Pozwoli to jej — mimo kalektwa — na znalezienie właściwego miejsca w życiu.

Razem z Leszkiem Prorokiem przed kilku dniami odwiedziliśmy Helenę Kotońską i przedstawiamy z tej wizyty relację fotograficzną.

Na zdjęciu pierwszym lekcja języka polskiego. Koleżanki są trochę młodsze, bo Helena (w okularach) liczy już osiemnaście lat i nie uczyła się bardzo długo, lecz pełna jest nadziei, że w szkole zawodowej, do której w Owiniśkach uczęszcza, znajdzie i nieodwołalne wykształcenie ogólne.

Nauka przyrody odbywa się nieco inaczej niż w szkole dla widzących. Ekspozycje rozpoznaje się poprzez dotyk. Wielki labirynt jest darem poznawskiego Muzeum Przyrodniczego, jak i wiele innych wypchanych zwierząt (zdjęcie drugie). Jednak dyrektor Czesław Andrysiak z Owiniśk skarży się, że szkoła posiada wypchanych ssaków i ptaków stanowiących za mało. Może Wydział Oświaty Prezydium WRN, który tak szybko podał pomocną dłoń Helenie Kotońskiej, pomyślałby o poszerzeniu gabinetu zoologicznego szkoły niewidomych? Przecież „dotykowa” nauka przyrody jest często jedyną możliwością poznania świata żywych stworzeń — dla ludzi, którym zgasło światło dnia.

A oto ostatnie zdjęcie — nauka o ziemi ojczystej. Wielka, plastyczna mapa Polski wisi na ścianie. Rękę Helenki prowadzi Leszek Prorok, któremu dziewczyna jest za osobiste starania dla niej — szczerze wdzięczna.

Na marginesie tej sprawy zdaje się nam, że istnieje potrzeba wydania jakichś ściślejszych rozporządzeń dotyczących ustawa o obowiązkach szkolnych dzieci upośledzonych. Nasza bohaterka mogła się dostać do zakładu w Owiniśkach dopiero po przekroczeniu osiemnastego roku życia, gdy jako pełnoletnia uzyskała prawo stanowienia o swoim losie. Do tego czasu zależna była od rodziny, która nie widziała potrzeby, by ociemniała zdobywała umiejętność czytania i pisanie (systemem Braila), wiedzę o świecie i jakiś konkretny zawód.



Marian Jaśkowski

NA RYKOWISKU

Opowiadanie

Gdy z nadleśnictwa Bucharzewo nadszedł telefon, że „już się zaczęło” — zapachniało w pokoju egzotyka. Decyzja wyprawy na rykowisko jeleni w puszcze nadnotecką zapadła we mnie dawno. Rozległe lasy wtłoczone w widły Warty i Noteci, nie były mi nieznane. Jako zapalony rybak nieraz czatawałem u krętego biegu rzeki, wrzynającej się w skraj puszczy. Wdychałem jej żywiczny oddech; cierpki smak wrzosowisk siadywał na wargach, wiatr targający grzywy sosen zawodził w mych uszach i mieszał się z pomrukiem nurtu. Konary pochylonych drzew migotały w toniach.

Siedziałem przy puszczy, lecz odwrócony od niej. Zbyt silnie pochłaniał mnie żywioł wody...

Słońce kładło się nad horyzontem, gdy ruszyliśmy. Smugi przedwieczornych mgieł osiadły na podmokłych łąkach, pełzały wzdłuż krętego strumyka. Za mostkiem skreśliłmy na szeroki trakt, w samo serce puszczy. Brzozowa aleja odpychała napierający na drogę młodniak.

Obok mnie w samochodzie siedział nadleśniczy. Milejący, okutany w futro, patrzył w las. Oddychał ciężko, był przeziębiony. Nie chciał sprawić mi zawodu. Z zanadru rozpiętego kołnierza, wystawała długa papierowa tutka. Byłem podniecony. Potem nadleśniczy zwrócił mi uwagę, abym uważał na prześwity między drzewami:

— Zwierzyna się teraz pasie... — uzupełnił.

Nie mogłem długo patrzeć. Równie rzędy drzew uciekały zbyt szybko. Przymknąłem oczy.

Gdy otworzyłem je ponownie, zielone ściany lasu pociemniały, zbliżyły się do siebie. Wiatr ustał zupełnie i korony drzew odcinały się czerwienią w szarzejącym błękitcie. Uchyliłem szyby.

Śwad benzyny odrzucił wilgotny oddech puszczy.

Przed nami wyrosły fioleto-we wzgórza, piętrzyły się warstwami, falowały ledwo już widocznymi brązowymi szczytkami. Z boku, w szerokim przecinku, ukazała się biała twarz wschodzącego księżyca, nabrzmiała, zimna. Zniknęła, weszła w gąszcz czarnej olszyny.

— Ziąb ciągnie! — powiedział nadleśniczy. Owinał się ciasniej futrem, kaszlnął sucho, gardłowo.

Mroki ustąpiły przed światłem miesiąca, uszły w gęste poszycie, przycięły się we wrzosowiskach, gdy znaleźliśmy się u celu. Wokół, brzozy lśniły srebrem, gruba podściółka pachniała grzybami, pod stopami chrzęścił mech, opadłe liście.

W dali pozostał samochód...

Stanowisko zajęliśmy w porębie, siadając blisko siebie, na pniach. Nadleśniczy skulił się, jego postać czerniała na tle świerków. Oddychał ciężko.

Cisza stała w powietrzu, najmniejszy powiew nie cesał brzożowych kosmyków, zawieszonych na granatowym niebie. Pełny księżyc żeglował w stronę obłoku, wsiąkał powoli w przezroczystą wate, rzucił cień na ziemię.

Człowiek w futrze uniósł podbródek, rozchylił usta, nasłuchiwał. Głowę wolno odwrócił w naszą stronę. Domyśliłem się, że odwołuje się nie do mej świadomości, ale do mego słuchu. Niczego nie usłyszałem. Zaprzeczyłem ruchem głowy.

Zmalał znowu na pniu.

Księżyc wypłynął z chmury, obnażył lysinę piaszczystego wzgórza: bielala przed nami wysoko, w leśnym przecinku. Zanim jeszcze uchwyciłem daleki, niewyraźny szmer, wpiętrzył się w powietrze, wpiętrzył się w powietrze, wpiętrzył się w powietrze. Do mych uszu wsączyło się urywane, głuche stęknienie. Po chwili nagły ryk przerwał ciszę, nabrzmiewał wyzywającym krzykiem, długo opadał i raptem skonął.

Człowiek w futrze odwrócił się ponownie, nachylił w naszą stronę, wionęło od niego oddechem.

— Mówi gospodarz puszczy! W pobliżu jest więcej jeleni...

Zamarłem w napięciu, przymknąłem powieki. Zdałem się wyłącznie na słuch. Człowiek w futrze wsunął rękę w zanadrze, wyjął papierową tutkę, drażnił nią pieścił ją w dłoni, wysunął twarz w stronę księżyca. Długo, ze świstem nabierał po-

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”

Niedziela 23 X 1955

Rok VI Numer 41

Pochwała pracowitego życia

Wielostronna była działalność niedawno zmarłego prof. dr. Zygmunta Wojciechowskiego (1900—1955), toteż nielato ją scharakteryzować. Przejawiała się ona w kierunku działalności naukowej, pedagogicznej, organizacyjno-naukowej i działalności publicznej.

Napisał
prof. dr J. Małuszewski

Jeśli w ten sposób dzielimy aktywność Zmarłego, to jedynie dlatego, by tym mocniej uwypuklić ogrom dzieła dokonanego przez prof. Wojciechowskiego. Ciężar, który dźwigał, można by rozłożyć na kilka osób mniejszego formatu: miałyby wszystkie ręce urobione aż po łokcie. Tymczasem podolał mu On sam.

Zmarły zabłysnął jako dwudziestoczerotletni uczonec, publikując we Lwowie doskonałe prace analityczne, poświęcone ustrojowi administracyjnemu dawnej Polski. (Momentary terytorialne organizacji grodowej

w Polsce piastowskiej, 1924, Ze studiów nad organizacją państwa polskiego za Piastów, 1924). On go zaprowadził na katedrę historii państwa i prawa polskiego Uniwersytetu Poznańskiego.

Po nich poszły dalsze monografie, zajmujące się organizacją życia handlowego (Najstarsze targi w Polsce, 1927), genezę stanu szlacheckiego, przedstawioną w kapitalnym dziele pt. Prawo rycerskie w Polsce przed statutami Kazimierza Wielkiego, 1928 (wrócił do tych zagadnień jeszcze później w artykule, publikowanym w Revue Historique de droit français et étranger w 1936/37 pt. La condition des nobles et le problème de la féodalité au moyen âge). Przedstawił również organizację sądową doby

piastowskiej (Sądownictwo prawa polskiego w dobie przedimunitowej 1930, Początki immunitetu w Polsce, 1930, Zagadnienie immunitetu sądowego w Polsce w XII w.). W szeregu monografii zajął się okresem wczesnodziejowym, by uzmyslić sobie sytuację, w jakiej powstało państwo polskie (Ustrój polityczny ziem polskich w czasach przedpiastowskich, 1927, Mieszko I i powstanie państwa polskiego, 1936, Polska nad Wisłą i Odrą w X w., 1939, Najstarszy ustrój plemiennie-szczepowy i ad ministracja (Śląska) do roku 1139). W związku z tymi zainteresowaniami, pozostaje niewykończona praca o Bolesławie Chrobrym.

Wszakże prace analityczne nie były w stanie zaspokoić zainteresowań naukowych Zmarłego. Z przekąsem wyrażał się nieraz o przyczynkarstwie, żartował niejednokrotnie z „Deutsche Gründlichkeit”, przejawiającej się w niektórych analizach. Umysł Jego pożywał syntez i to szeroki. W ciągu swe go życia zdołał napisać ich dwie: Ustrój polityczny Śląska, 1933 oraz Państwo polskie w wiekach średnich (I. wyd. 1945, II. 1948, III. w języku francuskim, 1949). Ustrój Śląska jest dziełem do dziś niezastąpionym, które w trzymiastoletniej próbie czasu. Mimo upijwu niemal ćwierci wieku od jego ukazania się, zagłada do niego każdy historyk średniowiecza. Państwo polskie przewidywane było jako podręcznik uniwersytecki, faktycznie jednak daleko wykracza poza ramy podręcznika. Spotkało się też z przychylną oceną badaczy polskich i obcych (Tymieniecki, Vetulani, H. Mitteis).

Pracując twórczo w dziedzinie badań, prof. Wojciechowski nie zapomniał nigdy o tym, że nauka jest z istoty swej międzynarodowa, że wyniki swych prac należy komunikować uczonym zagranicą. Bał się instynktownie zaściankowości, stąd jego usiłowania nawiązywania kontaktu z badaczami mi obcymi. W obawie przed wpływem uczonych niemieckich szukał powiązań z badaczami francuskimi. Sam pisywał na łamach paryskiej Revue Historique czy Revue Belge de Philologie et d'histoire, ale też troszczył się o tłumaczenia dzieł na język niemiecki (Das Ritterrecht in Polen, 1930). Tą samą chęcią kontaktu międzynarodowego tłumaczy się z wyjątkiem, wprowadzony w założonym przez Zmarłego organie zaopatrywania drukowanych prac w streszczenia francuskie.

Prof. Wojciechowski wkrótce po objęciu katedry na Uniwersytecie Poznańskim, rozpoczął wydatną działalność na prowadzonym przez siebie seminarium. Prędko zabłysnął swym talentem pedagoga. Potrafił przyciągnąć do siebie młodych ludzi, zapalić ich do pracy naukowej, podtrzymać w chwilach zwątpień. Swoich wychowanków otaczał wyjątkową wprost opieką. Troszczył się o byt materialny, starał o mieszkania w domu akademickim, wyrabiał stypendia krajowe czy — dla zaawansowanych — zagraniczne. W pracy naukowej zostawiał swym uczniom pełną swobodę wypowiedziania się; nie narzucał swych koncepcji; cieszył się, gdy młody adept występował z własnymi po myślami, choćby nawet sprzecznymi z jego poglądami. A skoro praca była ukończona, profesor dokazywał cudów, by ukazała się drukiem. Pod tym względem był opiekunem wyjątkowym, nie mającym równego w swej generacji.

Jak owocna była ta jego strona działalności, świadczy fakt, że dzisiaj znaczny zastęp jego uczniów zajmuje katedry uniwersyteckie czy inne ważne stanowiska naukowe (profesor Kaczmarek, prof. Kolańczyk, prof. Szczaniecki i niżej podpisany, a dr Weymann — jest dyrektorem takiego placówki,



ryczały dwa inne jelenie. Jeden ryk przeciągły gonął drugi; na przemian opadały bądź przerywały.

Do nich dołączały się dalsze. Dookoła nas...

Człowiek w futrze znów zagrał. Czekaliśmy. Następnie powtarzał w nierównych odstępach czasu, zmieniając swój głos, wybierając tonację, stopniując siłę.

Potem rozpoczęła się wielka, nieprzerwana symfonia puszczy, podczas której wielokrotnie przykładał jeszcze swój instrument do ust.

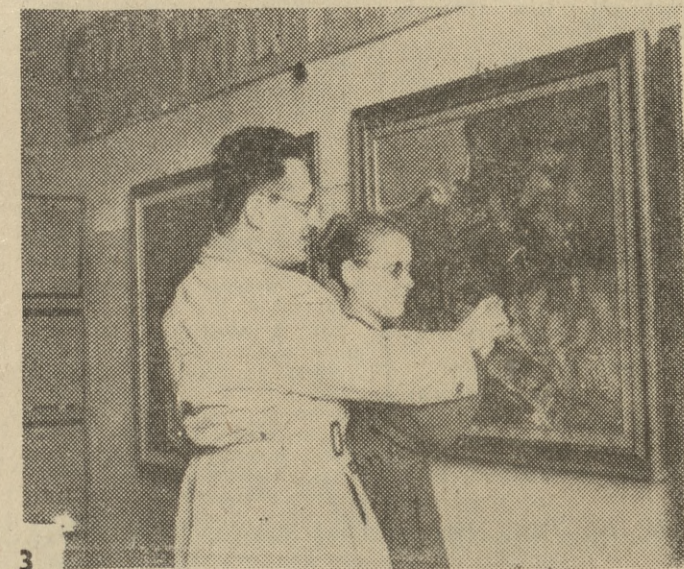
Świadomie i pewnie wiódł prym w miłosnej sonacie.

Tkwilem w sercu chóru. Stałem się wyodrębnić poszczególne tony, rozbić je na kategorie normalnych uczuć. Przyszyczałonemu do wodnych

niebezpieczeństwem odurzonych władcy. Opadał kołując młodsze jelenie, próbując mu uwiesić jedną ze stada. Ilekroć stary zapędził się za rywalami, tylekroć pozostali korzystają z jego nieobecności. Oprócz młodszych „pomocników”, przebywających stale w otoczeniu starego, krąży jeszcze inne jelenie. Są nieco starsze i pragną za wszelką cenę przełamać władztwo zazdrośnika. Między stojącymi z dala zalotnikami a jelenim tyranem, dochodzi często do walk, podczas których leje się krew i padają trupy. Zwycięzca owych miłosnych turniejów obejmuje niepodzielnie władzę nad łaniami. I znów tak długo trwa przewaga nowego samca nad pozostałymi, aż nie znajdzie się inny, silniejszy, by

(Ciąg dalszy na str. 3)

(Dokończenie na str. 2)



TEKST I ZDJĘCIA: JANUSZ LIKOWSKI

Pochwała pracowitego życia

(Dokończenie ze str. 1)

jak Biblioteka Kórnicka). Ale nie tylko liczbą — wychowanymi przez siebie profesorów wyróżnia się Zmarły od swych kolegów, z którymi przysięgał nauczać na poznańskiej Alma Mater. Prof. Wojciechowski kształcił nie tylko historyków prawa polskiego, ale przygotowywał narybek dla katedr o zbliżonych zainteresowaniach (Powszechna Historia Państwa i Prawa), czy nawet tak odległej, jak katedra prawa rzymskiego. Tej swojej działalności dydaktycznej nie zarzucił nigdy, do ostatnich lat przewijało się przez jego seminarium dużo uczniów, którzy, zainteresowani naukowymi pozostali wierni. Jeśli poznański ośrodek historyczny wyróżnia się dziś wśród innych uniwersytetów, to niewątpliwie duża w tym zasługa Zmarłego.

Te dwa scharakteryzowane odcinki starczyłyby już do zapamiętania karty niejednego żywota. Tymczasem prof. Wojciechowski prowadził jeszcze wydatną działalność naukowo-organizacyjną. Ona też pochłaniała mu z biegiem lat coraz więcej energii, zwłaszcza po ostatniej katastrofie wojennej. Wybrany dziekanem Wydziału prawa w 1939 r., objął faktycznie funkcję w 1945 r. Niedługo jednak na tym stanowisku pozostał.

Pochłonięty go bowiem dwa inne zajęcia, sekretariat generalny Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk, a zwłaszcza dyrektora Instytutu Zachodniego. W towarzystwie zakładał nowe periodyki (Czasopismo Prawno-histeryczne), wznawia wydawnictwa przedwojenne (Roczniki Historyczne, Studia nad historią prawa polskiego). Wszakże najszerze pole działalności organizacyjno-naukowej stworzył sobie Zmarły przede wszystkim w Instytucie Zachodnim. Redaguje tu: Przegląd Zachodni, Życie i Myśl, wydaje Złotopolski, Documenta occupationis Theutonice. Walka z militarizmem niemieckim przewija się w nich na każdej niemal stronie. Setki publikacji, wydawanych przez tę instytucję, są nieodłącznie związane z jego imieniem. Ukazały się one drukiem dzięki jego energii. Cały dorobek dziesięcioletniego Instytutu Zachodniego go zapisać trzeba na aktywa jego dyrektora. To nie ulega żadnej wątpliwości.

Prof. Wojciechowski nie był uczynnym zastrzeżeniem w papierkach. Trzymał zawsze rękę na pulsie życia, brał w nim czynny udział. Rozumując jako historyk, potrzebował chwili bieżącej, poświęcał dużo czasu działalności publicznej. W latach przedwojennych pracował w Powszechnych Wykładach Uniwersyteckich. Pod jego kierownictwem instytucja ta była niesłyszalnym żywotem. Zmarły organizował nie tylko wykłady w kraju, ale jeździł sam czy wysyłał swych kolegów do ówczesnych Prus Wschodnich, na Warmię i Mazury. Myśl jego kierowała się też bystro poza granice zachodnie Polski. W dziełku, zatytułowanym *Rozwój terytorialny Prus w stosunku do ziem macierzystych* (Polski, 1933, kreślił granice historyczne Polski, pokrywające się z dzisiejszymi naszymi granicami zachodnimi. Swoją twórczością prof. Wojciechowski przyczynił się do uzasadniania naszych praw do prastarych ziem piastowskich. To jest osobny tytuł do chwały Zmarłego.

Prof. Wojciechowski poświęcił też dużo czasu działalności publicystycznej i popularno-naukowej, które doceniał w całej pełni. Ilość artykułów z tego zakresu przekracza dobrze setkę pozycji. Z większych wymieniamy tu: Polska — Niemcy, dziesięć wieków zmagania, 1945. Wspólnie z innymi uczniami wydaje Polska — Czechy, dziesięć wieków sąsiedztwa, 1947, i w tymże roku Poland's place in Europe. Z popularno-naukowych prac trudno pominąć wydane wspólnie z jego żoną — dr. Marią Wojciechowską, dzieło pt. Polska Piastów, Polska Jagiellonów, 1946.

Nowym, ostatnim polem działalności prof. Wojciechowskiego była poznańska Wojewódzka Rada Narodowa.

Zmarły nie stronił od wysiłku. Podejmował się wielu robot i wykonywał je z wyjątkową wprost energią. Odbijało się to wszakże kosztem zdrowia. Organizm, nadzaprężony wyjątkową pracą za lat młodych, coraz bardziej odmawiał mu posłuszeństwa, aż w końcu uległ. Serce, które tak ukochało Polskę i naukę, przestało bić na zawsze.

Prof. dr J. MATUSZEWSKI



Z TEKI TATRZAŃSKIEJ MAKSYMILIANA MYSZKOWSKIEGO
Odpoczynek w Pieninach

„SZKICE Z NOWEJ DROGI” czyli WIĘCEJ WYOBRAŹNI

Napisał
Przemysław Bystrzycki

Święta wojna, jaka z różnym nasileniem trwa wśród pisarzy parających się reportażem, wyłoniła dwa obozy, żyjące z sobą w niezgodzie. Pierwsi — to fetyzysci. Ich zdaniem reportaż nawet o wysokich ambicjach literackich wyrasta z obserwacji faktów, traktowanych jako „tabu”, jest odbiciem spraw ściśle według notatnika. Domysły, inwencje, ryzyko dopowiedzenia tępi się tutaj niby złośliwe demony, czyhające na skrzywienie trudnych spraw dnia dzisiejszego. Autor takiego pisanja zaopatrzonego w polot i inteligencję, atrybuty przecież niepowołane w gronie ludzi pióra, jadących „po reportaż”, jak to się zwykle określa, lub „w teren” — co również nie grzeszy poprawną polszczyzną — pod pretekstem owego fetyzysmu odczuwa ucisk na gardle. Jest w kołnierzyku nieco przywaskim. Oddychać od biedy można, ale pełniejszego głosu wydobyć nieposob.

Reprezentanci drugiej grupy powiadają: „Głosujemy za wyobraźnią i co nam kto zrobi. Oddajemy każdemu co jego. Czelmy więc, fakty, uczymy się rozsądnie obserwować, a jakże, gimnastykujemy nos, by nie zawiodł, jeśli oko i ucho nie wystarczy, ale od ryzyka domysłu nikt nas nie odetnie, ponleważ twierdzimy, że pisarz ma prawo uczestniczyć w tym co pisze. Nie spisuujemy przecież faktów jak średniowieczni kopiści, tylko tworzymy, a tworzyć nie można wbrew swojej wyobraźni.”

Oto cała różnica. Wyobraźnia podparła celnym domysłem pozwala nam lepiej zlepić ułamek prawdy, lepiej segregować, wnikiwiej znajdować związki między nimi.

„Szkice z nowej drogi” (1) Jana Bykowskiego są hołdem złożonym w grupie pierwszej. Są zbiorem reportaży o życiu wsi wielkopolskiej, ścisłych, dokumentarnych, rzec by się chciało źródłowych. Słabość tomiku kryje się właśnie w owym założeniu, choć i tutaj zapewne czerpią swoje źródło zalety.

NUOK-MAM osobliwy sos odżywczy

Aby człowiek mógł utrzymać się przy życiu, musi spożywać codziennie odpowiednią liczbę węglowodanów, tłuszczów, białek oraz witamin i sole mineralne. Czemu wobec tego zawdzięczają swoje życie kulisi Dalekiego Wschodu, skoro garść ryżu stanowiła ich jedyny posiłek? Tajemnica tkwiła w bardzo tanim, słonym sosie, którym kulisi urozmaicali skromne jedzenie. Naukowcy odkryli bowiem, że sos ten, zwany nuok-mam, jest koncentratem substancji białkowych. Mimo że nuok-mam posiada odstraszałą dla Europejczyka woń, zawiera wiele cennych substancji odżywczych, które uzupełniają skromne i jednostajne pożywienie biedoty Dalekiego Wschodu.

Punktem wyjścia reportażu jest najczęściej pewien konkretny fakt, o którym warto napisać. Owe fakty powstają za sprawą ludzi, rozgrywają się w środowisku społecznym i przyrodniczym. Mamy więc: człowieka, fakt, tło. W tym towarzystwie człowiek jest najważniejszy. Literatura z ambicjami zaczyna się od chwili, gdy odpowiada nie tylko jak i co człowiek robi, ale i dlaczego. Literatura z ambicjami musi pokazywać racje indywidualne, osobiste, tym bardziej i tym namiętniej, tak, że jak w wypadku tomiku Bykowskiego droga chłopów do życia spółdzielczego z takich racji przecież wynika. Chyba, że za przyczynę działania weźmiemy owczy pęd lub przymus administracyjny.

Czytałem z uwagą i sympatią ową książeczkę, niestety, racji tych znalazłem niewiele. Zewnętrzna powłoka spraw, uczynków, gestów, nawet statystyka, przesłoniła serca tych ludzi zbyt szczelną zasłoną, abym ośmielił się podglądać. Czy ja wiem, dla jakiej osobistej potrzeby nauczyciel Samowski („W styczniowym zmierzchu”) mówi z dumą o sukcesach dzisiejszej szkoły w Chorzeniu? Albo Cecylia Marszałek („W Krzekotowicach”). Rzucić się pod traktor, by nie dopuścić do zaorania spódnicy czegoś, to ona potrafi. Ale przecież nie strach przed wzięciem pchnął ją w ramiona nowego. Strach jest częściej złym doradcą, niż dobrym. Autor podpowie: a książkę? Dobrze, więc i co z tego, że książkę? Książka pomaga, owszem, wiele rzeczy zrozumieć, ale sama walka rozgrywa się w bohaterze, wśród jego myśli, wahań, zwątpień, postanowień.

Ze starych szpargałów

ZŁOWROGA CHMURA
24 sierpnia 1748 r. przed południem zaciemniło się naraz słońce i nad Kaźmierzem ukazała się ogromna chmura. Chmura ta sła na przestrzeni około 500 m przez osiem godzin i składała się, jak poznano po złośliwym brzęczeniu, z szarańczy. Część owadów spadała na ziemię i pokryła ją na około ćwierć metra. Owa dy te rzuciły się na jarzyny niszcząc wszystko na polach, przy czym wydawały przykry odór. Aby zapobiec większemu spustoszeniu, rzucili się mieszczanie na pola, niszczyli owady i karmili nimi bydła lub przysypywali ziemią.

Przeloty takie szarańczy

wień, czasem nawet wśród gorczy, czasem nawet wśród żalu za dawnym. A oto jak wygląda przełom w świadomości średniaka Józefa Bazelaka: „Było to w okresie, kiedy chłopi z Polaryczy pili studio wali materiały z IX Plenum KC, a Bazelak po długich i żarliwych wieczornych dyskusjach wstawał o świcie i jechał zwiadać spółdzielnie produkcyjne. Nie oglądał się już tylko na Stefanów, ale nie żałując czasu i drogi jechał do Roszkowna, Kotlina i innych dobrze pracujących spółdzielni w swym powiecie. Z jednej takiej podróży powrócił bardzo zamyślony i szczerze powiedział do Walczaka...” itd. itd. Dojrzuje tedy ten Bazelak w trybie zebrań lub instryktarzy. Zgodzimy się, że trochę tego za mało, pamiętając, że zebranie chociażby naj mędrze nie daje pełni doświadczeń życiowych.

Nie lubię w literaturze statystyki, nawet w reportażu. Można ją dać w przypisach, można jej nie dawać w ogóle. Jak za wodna jest wymowa cyfr wiedz kontrolerzy z PIH-u. Proszę zapytać. Bykowski daje kilka wykazów liczbowych nie tylko gwołi ścisłości wywodów, ale jako problem godny uwagi sam w sobie (np. „Spotkanie”). Zaufanie suchym faktem, ucieczka od wyobraźni bierze tutaj niedobry rewanż.

Rozmyślnie dla wykazania uchybień brałem przykłady z reportaży, składających się na początek tomiku. W tytułach końcowych („Z Jerki do Jerki”, „W tysięcznej”, a zwłaszcza „Okreś” (widać wyraźnie dążenie do pozbicia się ciasnego kołnierzyka, jest się ganie pełniejszą już ręką po prawdę o ludziach. Znajduje-

powtarzały się kilkakrotnie i trwały do połowy października, wywołując wielkie szkody na polach i w ogrodach. (S)

PAN SKI SPORT — CHŁOPSKI POT

Słynnym karciarzem był w drugiej połowie XVIII w. generał lejtnant — Franciszek Rozdrażewski.

O nim to zachowała się taka historyjka. Kupił on od księcia Sulkowskiego wraz z mieszkańcami wsi Gronówko i Górke, leżące pod Leszkiem za cenę 300.000 zł. Po zawarciu umowy w grodzie kościelnym, wyliczył Rozdrażewski Sulkowskiemu cenę łupna, którą hajducy zanięśli w kufurze do stacji księcia. Rozdrażewski odprowadził księcia z wszelkimi należnościami mu honorami, a wieczorem wciąż go w grę w karty. Gra no wysoko i, gdy poczęło świtać, Sulkowski przegrał nie tylko uzyskane za dwie wioski pieniądze, lecz na do-

PISARZ BUNTU

„Jeśli jedna klasa społeczna skazana jest na zagładę, to czyż nie lud, reżiki, pełen sił, poże wyczerpaną rozkoszami burżuazją? Nowa krew stworzy nowe społeczeństwo. W tym oczekiwaniu na zalew barbarzyńców, którzy odródzą zgrzybiałe, chylące się do upadku narody, znajdowała swój wyraz niezachwiana wiara w rychłą rewolucję, tę prawdziwą, robotniczą, której pożar rozjarzy koniec stulecia purpurą wschodzącego słońca, tego samego, jakie widział teraz przed sobą oblewające krwią niebiosy...”

Tak oto rozmyślał sobie, opuszczając kopalnię Le Voreux, Stefan Lan tier, bohater najbardziej typowej powieści Emila Zoli, noszącej tytuł: „Germinal”. Kończy się ona następującym, jakże znamennym zdaniem:

„Wzrastala czarna armia mścieli, w głębokich bruzdach kielkował wolno posiew, aby, rozerwawszy skorupę ziemi, przynieść plon w nadchodzącym stuleciu.”

W powieści tej, która ukazała się w 1885 r., nędza, ale zarazem i siła klasy robotniczej natchnęły pisarza do stworzenia wizji proletariackiego buntu. O dziele tym, malującym w sposób niesłychanie plastyczny niedolę górników francuskich, ich beznadziejną walkę o lepsze warunki istnienia, powie Maurycy Thorez: „Chociaż niektóre opisy są już przestarzałe, „Germinal” jest przejmującym prawdziwym. Górniczy wciąż go czytają i odnajdują w nim dobrze im znane sceny z ich tragicznego życia.”

Twórczość Emila Zoli była wyra-

zem buntu; niepokoiła, drażniła, doprowadzała do pasji sytą burżuazję.

Urodził się w 1840 roku, w małym miasteczku w Aix, na południu Francji.

Koituską atmosferę tego małego miasteczka odnajdziemy później w jednej z jego powieści: „Podbój miasta Plassans”. Ma lat 27, gdy wydaje swą pierwszą książkę, od razu, jako wróg reżimu Napoleona III, opowiadając się po stronie opozycji. Powieść nosi tytuł: „Teresa Raquin” i w treści swej przynosi obraz upadku moralności burżuazyjnej. Już wtedy rodzi się w nim pomysł wielkiego cyklu powieściowego. Praca nad nim, by przedstawić dzieje rodziny Rougon-Macquartów, zajmie mu dwadzieścia dwa lata! Pomysł był szeroko zakrojony i bardzo ambitny, iście balzakowski. Początkowo na usługach młodego pisarza patrzano nieco pobłażliwie. Znany karykaturzysta tego okresu — André Gill w jednym z pism parodycznych umieszcza zjadliwy rysunek: przed obryzwanym pomnikiem Balzaka nisko kłania się mały Zola.

Wnet jednak przestano się uśmiechać, a ta „historia naturalna i socjalna rodziny za Drugiego Cesarstwa” poczyniła budzić wielkie zainteresowanie. Już pierwsza powieść tego cyklu: „Początki fortuny Rougonów” zdobywa sobie szerokie grono oddanych Zoli czytelników. Sławę pisarza umacniają dalsze tomy: „Podbój miasta Plassans”, a zwłaszcza powieść: „W matni”, w której po raz pierwszy nędzna egzystencja proletariatu francuskiego znalazła wnikiwy opis. Robotnicze dzelnice Paryża opisywał i Eugeniusz Sue i Wiktor Hugo. U tych jednak pisarzy przeważał element pewnej egzotyki, romantyczności. U Zoli przeważa zgroza, nędza prawdziwa. Powieść „W matni” wywołuje protest ogólny. Oburzają się publicyści burżuazyjni, a krytyki nie szczędzą na wet Wiktor Hugo, zarzucając Zoli, że „wyrządza krzywdę klasie pracującej, malując jej nędzę w sposób upokarzający”.

Odtąd fala protestów towarzyszyć będzie każdemu dziełu Emila Zoli. Z gwałtowną odprawą burżuazyjnej krytyki spotka się i „Nana” i „Germinal”, klasyczny utwór francuskiej literatury postępowej. O tej swojej powieści powie: „Chcę, aby przepowiedziała przyszłość, stawiając zagadnienie, które będzie najważniejszym zagadnieniem XX wieku”.

W 1898 r. nazwisko Zoli staje się głośne w całym świecie. W tym roku kapitan sztabu generalnego — Alfred Dreyfuss bez podstaw zostaje oskarżony i skazany za szpiegostwo. Sprawa ta miała odwrócić uwagę od skompromitowanego szta bu francuskiego. W obronie Dreyfussa pisze Zola list otwarty pt. „J'accuse” („Oskarżam”). Skazany za obraz sądu wojennego na więzienie, zbliżył do Anglii, skąd powrócił w rok później.

Emila Zolę uważa się za czołowe go przedstawiciela naturalizmu francuskiego. W swych teoriach literackich pozostawał Zola długo pod wpływem ideologii burżuazyjnej. Jako pisarz pozostaje w kręgu rozwijającego się za Drugiego Cesarstwa naturalizmu; Zola ten kierunek rozwinął i nadał mu nazwę. Jego twórczość kształtuje się pod wpływem teorii Hippolita Taine'a, który głosił, że pisarz powinien dać tylko dokładny jak fotografia opis rzeczywistości. Reakcyjna ta teoria fałszowała rzeczywistość, odrywając człowieka od jego społecznego bytu. Historia dziedziczenia obciążonej rodziny ma reprezentować społeczeństwo francuskie. Ludźmi tymi kieruje jednak nie dziedziczenie, lecz zachłanność burżuazyjna, żądza zysku. Realizm krytyczny Zoli triumfuje nad jego naturalistyczną metodą twórczą.

Emil Zola znał proletariatu tylko z obserwacji. Dlatego też jego praca musowa — bierność, spowodowana tym, że ruch robotniczy we Francji, po upadku Komuny Paryskiej znalazł się w rozpłyce, bierze Zola za jego normalną postawę. To złudzenie przewyciężył dopiero w „Germinalu”.

Gdy 29 października 1902 roku umarł wskutek zaccadzenia (jak wykazało śledztwo „w tajemniczym sposób”, został zatłaczony przewód kominowy), burżuazja, której nieuchronną klęskę głosił, powitała jego śmierć okrzykiem: „Szkoda, że tak późno”. Ale nadchodzące czasy wieściły zwycięstwo jego idei. O tym obrońcy ideałów demokracji powiedziała Anatol France: „Był przebiegłym sumienia ludzkości”.

STANISŁAW KROKOWSKI

P. S. Zawiodło za to Wydawnictwo. Okładka akurat tyle ma z Wielkopolską, co poznański plac Wolności z krajobrazu księżycowego. Niechlujna techniczna adiustacja tekstu (odstęp), błędy ortograficzne (str. 30, tytuł: „nie ma” w polskim języku pisze się jednak oddzielnie) i te przypisy (por. str. 78 o Wiosnie Ludów i inne) dowodzą, że niektórzy redaktorzy traktują mieszkańców wsi jako matolów. Takiej interpretacji „kulturowej” nie ośmieliła się podsuwać nawet tradycja chłopa pomańskiego, jakże ośmieszona przez Wacława Nałkowskiego, z której zapewne wyrosł.

1) Jan Bykowski: „Szkice z nowej drogi”, wyd. Ludowa Spółdz. Wydawnicza, 1955, str. 90.

bitok zapożyczył się jeszcze na kilkaset dukatów u Rozdrażewskiego. (S)

PAN PANU...

Znanym kiedyś dziwakiem był wojewoda pomorski — Łoś. Z licznych anegdot — krążących o nim, zanotujmy choć jedną.

Otóż pan wojewoda jedzie karetą i przyjeżdża nad rzekę Tanew, która wskutek roztopów wezbrała. — Stangret. staje. Wojewoda wychyla się z karety i każe mu wejść w wezbraną rzekę. Z wielkim wysiłkiem zdołał konie karetę dociągnąć do przeciwnego brzegu, a pan wojewoda na pamiętkę tej przeprawy kazał postawić figurę z napisem:

Jaką przysługę na rzecz

Tanwi

Pan Panu oddał? — Pan

wie.

A że Pan Pana z nieszczer-

cia wybrał,

Za to Pan Panu figurę

wystawił.

(S)

JOHN BARLEYCORN — TAK NAZYWAJĄ AMERYKANIE ZIARNO JĘCZMIENIA, KTÓRY JEST TAM PODSTAWOWYM SUROWCEM PRZY PRODUKCJI ALKOHOLU, A W PRZENOŚNI — SAMĄ WÓDKĄ. JOHN BARLEYCORN — TO RÓWNIEŻ TYTUŁ MAŁO ZNAJANEJ U NAS KSIĄŻKI JACKA LONDONA, WYDANEJ PRZEZ PIW. WARTO PRZECZYTAĆ TEN WSTRZĄSAJĄCY PAMIĘTNIK — WYZNANIE AUTORA, KTÓRY SAM PRZESZEDŁ PRZEZ PIEKŁO NAŁOGU, A W KOŃCU — JAK WIA DOMO — ZAPŁACIŁ ZA NIEGO PRZEDWCZESNĄ ŚMIERCIĄ W PEŁNI SIŁ TWÓRCZYCH. DZIŚ, KIEDY WSZYSTKIE ZDROWE SIŁY SPOŁECZNE KONCENTRUJĄ U NAS SVOJĄ UWAGĘ NA WALCE Z PLAGĄ ALKOHOLIZMU, KSIĄŻKA LONDONA ODDAĆ MOŻE W TEJ AKCJI NIEOCENIENE USŁUGI. A OTO FRAGMENTY POWIEŚCI:

Argumenty Jacka Londona

John Barleycorn — wróg młodości

... Nie byłem dziedzicznym alkoholikiem. Nie urodziłem się z organiczną predyspozycją do alkoholu. Pod tym względem jestem zupełnie normalny. Alkoholizm mój był nabyty. I nabyty z wielkim trudem. Wódka była dla mnie rzeczą wstrętną, gorszą od wszelkich innych ostrych. Nawet obecnie nie znoszę jej smaku.

... Co pokonało mój opór — to łatwy dostęp do alkoholu. Każde spotkanie, zawsze gdzie tylko mężczyźni znajdą się razem, aby podzielić się swymi myślami, by wytehnąć — wszystko to odbywa się przy kieliszku. Szynek jest miejscem zebrań. Miałem zwyczaj śmiać się z pijaków. Dziś jestem ostatecznie zdecydowanym alkoholikiem. Trzeba było 20 lat, aby ten nałóg zakorzenił się we mnie.

... Spotykamy dwa typy alkoholików. Jeden, to człowiek głupi bez wyobraźni. Taki chodzą przeważnie szeroko rozstawiając nogi, chwytając się, wspada często do rymostka, a u szczytu swej ekstazy widzi niebieskie myszy i różowe słonie. Drugi typ ma wyobraźnię żywą. Nawet kiedy najwięcej wypił, chodzą prosto i naturalnie,

nie chwieje się ani nie pada i wie zawsze dokładnie gdzie jest i co robi. To nie ciało, ale umysł jego jest pijany. Może nawet oświecać iskrzącym dowcipem albo okazywać rozległą serdeczność. Ale patrzy na życie oczami chorego na żółtaczkę, pesymisty, niemieckiego filozofa. Rozdziera wszelkie iluzje. Przewartościowuje wszystkie wartości. Dobro jest wówczas dla niego złem, prawda oszustwem, a życie — kpinami. Naturalnie wszystko to jest chorobą duszy i chorobą życia, karą, jaką opłacać musi człowiek wyobraźni swą przyjaźń z alkoholem.

... Bynajmniej nie jestem niedołężnym głupcem. Według opinii świata cieszę się powodzeniem i to powodzeniem ponad zwyczajną miarę, zdobytym nieprzeciętnymi zdolnościami oraz potężnym wysiłkiem woli. Mój silny organizm pokonywał trudy, od których słabsi padali jak muchy. Pijaństwo moje jest dowodem tej strasznej potęgi Johna Barleycorna — potwora, którego wciąż jeszcze tolerujemy, tej śmiercionośnej instytucji, przeżytku barbarzyńskiej starożytności, kładącego się ciężkim brzemieniem na młodość i siłę, na lotne umysły, słowem — na kwiat ludzkości.

... Ten sam bodziec nie będzie stale wywoływał identycznych skutków. Z czasem doszedłem do przekonania, że jeden kieliszek wódki nie wywołuje żadnego wrażenia: nie daje podniecenia, nie pobudza do śmiechu. Do wywarcia jakiegoś skutku potrzebowałem wkrótce dwa do trzech kieliszków. A skutku tego trzeba mi było koniecznie. Po latach używania alkoholu bez po-

żądania, pojawiło się pożądanie samo. Im więcej piłem, tym większa ilość alkoholu była mi potrzebna do wywołania właściwego skutku.

Ale trzeba zapłacić rachunek. Alkohol zaczyna ściągać haracz i to nie z ciała, ile z umysłu. Pożerany chorobą pesymizmu, wrodzonego przez pijaństwo, ratujesz się pijąc jeszcze więcej, gnany tęsknotą za upojeniem, które wódka ci obojętuje, lecz którego nigdy nie daje.

Otóż w alkoholu drzemie fatalna intuicja prawdy. Alkohol mówi prawdę, lecz prawdą jego nie jest normalna. Albowiem to, co normalne, jest zdrowe, a to, co zdrowe, zmierza ku życiu. Piękna jest gra życia chociażby przynosiła same zawiądy. Prawda ta jest zdrowa i normalna i życie wierzyć w nią musi, skoro chce żyć. Ale oto zbliża się John Barleycorn z plagą, która trapi ludzi o bujnej wyobraźni. Wysyła swego herolda, antytezę życia, groźną i ponurą jak próżnia we wszechświecie, bezkrywą i skostniałą, zięjącą chłodem lodowatej logiczności. Alkohol nie pozwala śnić marzyć, nie żyjącemu żyć. Zalać się z życiem i śmiercią, rozwijać jak mgłę paradoks bytu, póki nie zawyje z bólu jego niewolnik. Życie, to znikoma chimera — szepce John Barleycorn — a człowiek to kosmiczny żart, wybrzyk chemii. Pij — kusi — Grecy wierzyli, że wino od bogów pochodzi, aby dawało zapomnienie nędzy bytu.

... Nie — opieram się, ale mikroby odbierają mi już siły — wiem, kim jesteś i nie lekam się ciebie. Pod maską hedonizmu ty sam jesteś Kostuchą, a droga twoja wiedzie w noc. Jesteś tylko zwodniczą marą, szeptem wabiącym ku śmierci.

Ale w utarczce z Johnem Barleycornem moje życie, kariera, radość istnienia zostały nadwerżone. Ocalawszy w awanturkach wojackich, wykrzykuje: Precz z truciem naszej młodości! Jedynym sposobem zaprzestania walki jest zniszczenie wojny — jedynym sposobem zniszczenia pijaństwa jest zniszczenie alkoholu. Johna Barleycorna należy zniszczyć. Nie pozwólcie, by hulał swobodnie uświęcony i prawem chroniony, wiszący nad głowami naszej młodości miecz Damoklesa. Olbrzymia większość młodości jest z natury niealkoholyczna, nie mając dostępu do alkoholu, nigdy jego braku nie odczuje. O szynkach dowie się tylko z kart historii i będzie je uważać za dziwny i niepojęty zwyczaj jak walki byków i palenie czarownic.

Muzeum w Rydze nie zapomni ...

Pracownicy ryskiego muzeum z wdzięcznością wspominają ten dzień, który przyniósł im radosną wieść, że w Poznaniu odkupiono z prywatnych rąk obraz Rychtera. Niezbadane są drogi, jakimi praca wybitnego malarza niemieckiego dotarła w czasie wojny do Polski z dalekiej Rygi; fakt jednak, że obraz się znalazł i wrócił już na swe właściwe miejsce w muzeum, wywołał obojętną radość i w Związku Radzieckim i w Polsce.

Można sobie wyobrazić jednak radość, jaka zapanowała w poznańskiej „Desie” (Dzieła Sztuki i Antyki), kiedy znowu nieoczekiwanie wpadł do rąk obraz wielkiej wartości również niemieckiego artysty Lesinga, a później znanego malarza polskiego Augustynowicza. Ta rewindykacja z rąk prywatnych daje muzeum duże usługi, gdyż dzięki pośrednictwu „Desy” wyławia się dzieła, które powinny stanowić własność państwową, a naszą.

Podobnie ma się sprawa z warszawskim Muzeum Kultury Ludowej, które „Desie” w Poznaniu wiele już ma do zawdzięczenia. Ilekroć cennych okazów powoźdowało z Poznania: maska w drzewie z Madagaskaru, ceramika afrykańska, piękny ludowy czepek śląski...

„Desa” w Poznaniu posiada trzy placówki i to przy ul. Ratajczaka 35, Czerwonej Armii 63 i Starym Ryнку 48. Pracują one ofiarne i sumienne, skoro sklep przy ul. Czerwonej Armii zdobył w I i II kwarta-



Maska z Madagaskaru

IV miejsce sklep przy Starym Ryнку. Zespół poznańskiej „Desy” doszedł do takich wyników dzięki rozzumnemu podziałowi pracy i kwalifikacjom pracowników, które systematycznie szkoliła się i pogłębiała wiedzę o sztuce i jej historii. W placówce przy Czerwonej Armii np. pięć pracowników to absolwentki Wydziału Historii i Sztuki. Stąd też wynikają osiągnięcia tego sklepu, który specjalizuje się w pośrednictwie i ocenie unikatów sztuki ludowej: rzeźba w drzewie, tkaniny, haft, ceramika i wycinanki. Dla tej placówki pracują tacy artyści - plastycy, jak Szyński-Bohusz i Krzyżński, których malarstwo na ceramice tak dobrze jest nam znane.

Mało u nas jeszcze zainteresowania dla takiej sprawy, jak podniesienie kultury wewnątrz. Piękna ceramika na stole, ładny ludowy haft, czy ciekawa rzeźba w drzewie jakże upiększają nasz dom. Ostatnio Wyższa Szkoła Ekonomiczna przystąpiła do urządzania swego klubu przy Domu Akademickim i w dużej mierze korzysta ze zbiorów „Desy”. Projektanci świetlic, sal i klubów winni pójść śladami WSE.

Wracając jeszcze do pięknych osiągnięć poznańskiej „Desy” (wobec 17 placówek tego rodzaju w Polsce) nadmienić trzeba, że w ocenie działalności wielki nacisk kładzie się tu na ekspozycję wewnątrz i wewnątrz, prezentację personelu, uprzejmość i sprawność obsługi. Ale nie koniec zadań „Desy”, która w Poznaniu rozwinęła „wypożyczalnię” obrazów, dywanów, ceramiki itp. instytucjom, świetlicom i to dla przeróżnych okazji. Zwiększa w czasie MTP zaznaczyło się w tej nowej akcji wielkie ożywienie. W orbitę tego przedsięwzięcia działa też komisja zatwierdzania cen, takowania wartości dzieł i gwarantująca za ich oryginalność.

W pomocy państwa dla upowszechnienia sztuki niemałą rolę odgrywa konieczność ciągłego nasycania rynku wysokowartościowymi materiałami i przybarami malarskimi, często sprowadzanymi z zagranicy. Chodzi tu o papiery, farby, pędzle, rylce, które państwo poprzez „Desę” dostarcza naszym artystom-plastykom.

...sami nie wiecie co posiadacie”, mówi stare przysłowie. A przecież zdarza się, że na strychach i w komórkach, skrytkach i szafach spoczywają niekiedy pozornie bezwartościowe przedmioty (jak to było z owym pucharem przyniesionym do „Desy”, który okazał się cenną narodową pamiątką po Moniuszku). Nie wolno nam więc bezrozko traktować przedmiotów, które, kto wie, może powinny zająć poczesne miejsce w dużej, jasnej sali. Kto wie?

Chodzi bowiem o to, byśmy patrzyli na piękne obrazy, zachwycali się wspaniałymi wzorami, czy skromną, ale artystyczną rzeźbą ludowego plastyka, by nie była nam obojętna koronka czy haft, puchar czy świecznik — dzieła artystów.

Byśmy ładniej mieszkali.



„Desa”
Puchar Moniuszki

le br. pierwsze miejsce i proporzec przechodzi z tytułem „Najlepszy sklep „Desa” w Polsce”. W tym samym okresie dwie pozostałe placówki zdobyły dwa razy drugie miejsce: sklep przy ul. Ratajczaka i

CIEKAWY ZAMIERZENIA WYDAWNICZE „CZYTELNIKA”

Opracowany już został plan wydawniczy „Czytelnika” na 1956 rok. Przewiduje on edycję ponad 360 interesujących pozycji książkowych z literatury polskiej i obcej. Przeważają pozycje literatury współczesnej, bowiem „Czytelnik” jest instytucją już od kilku lat specjalizującą się w tej właśnie dziedzinie wydawniczej.

W dziale polskiej literatury wsłóciowej spotykamy m.in. na zwiska i tytuły nowych utworów: T. Brezy („Złota lódka”), K. Filipowicza („Opowiadania morskie”), A. Jackiewicza („Kapitan Łokietek”), J. Kornackiego („Kregle i kule”), T. Kwiakowskiego („Wszystkie grzechy człowieka”), L. Neverlego („Szumi las”), J. Strykowski („Głosy w ciemności”), W. Żukrowskiego („Opowiadania”), M. Dąbrowskiej (tom esejów literackich „Myśli o sprawach i ludziach”).

Jednocześnie ukazują się w tym dziale: „Pisma wybrane” H. Boguszewskiej i J. Kornackiego, 4-tomowe „Pisma wybrane” M. Dąbrowskiej, „Pisma publicystyczne” i „Zwierzchnia” Z. Nałkowskiej o-

raz zbiór starych anegdot, żartów i ciekawostek, zebranych przez J. Tuwima — „Cicer cum caule”.

Poezję reprezentować będą m.in.: „Pisma wybrane” — K. I. Gajczyńskiego, „Wybór poezji” — S. Karpińskiego oraz nowe zbiory wierszy S. J. Leca, L. Pasternaka, T. Różewicza, W. Wirpszy i innych poetów.

Wśród licznych wznowień znajdują się m.in.: „Popiół i diament” J. Andrzejewskiego, „Pamiętnik pani Hanki” — T. Dołęgi-Mostowicza, „Paluba” — K. Irzykowskiego, „Opowiadania” — J. Iwaszkiewicza, „Alchemia słowa” — J. Parandowskiego, „Wspólny pokój” — Z. Unilowskiego i „Żywe i martwe morze” — A. Rudnickiego.

Z obcej literatury współczesnej ukazują się w 1956 roku: tom IV cyklu A. Antonowskiej — „Wielki Mouraw”, „Dzień powszedni” — W. Kłetińskiego, „W rodzinny mieście” — W. Niekrasowa, „Burzliwa młodość” — K. Paustowskiego i „Stiepan Razin” — S. Złobina (literatura radziecka); „Silas Timberman” — H. Fast, „Opowiadania” — D. Parkera, „Płonąca dolina” — F. Bonosky’ego oraz „Antologia noweli amerykańskiej”; „W tajemnicy przed majestrem” — M. Cohena (literatura angielska); „Ty toń” — D. Dimowa (literatura bułgarska); „Przełom” — Mao Tuna (literatura chińska); „Bez szeffa” — T. Svatopluka; „Człowiek z psem” — Z. Jirotki (literatura czeska); „Jean Barois” — R. Martin du Gard; „Oczy i światło” — Vercorsa; „Zwycięzcy” — P. Tillarda (literatura francuska); „Sprzedana wyspa”, „Niezależni” — H. Laxnessa (literatura islandzka); „Most na Drinie” — I. Andrić (literatura jugosłowiańska); „Raj bez szczęścia” — E. Claudiusa; „Ostatni wagon” — L. Franka oraz „Samozwańcy Neron” — L. Feuchtwanger (literatura niemiecka); „Nadzieja” — S. M. Bonifantiego (literatura włoska) oraz wiele książek szeregu autorów z innych krajów.

W zakresie polskiej literatury klasycznej „Czytelnik” zamierza wydać w roku przyszłym m.in.: pierwsze trzy tomy „Dzieł wybranych” — W. Berenta, trytytowe „Wspomnienia” — L. Krzywickiego, „Opowiadania” i „Złoty krzyż” — A. Struga, „Poezje” — Z. Krasińskiego, „Parafianczyzna” — L. Borkowskiego i „Jakobini półsocy” — J. Czyńskiego. Wśród wznowień znajdują się książki: T. Z. Jeża, J. I. Kraszewskiego, S. Teromskiego, „Rękopis znaleziony w Saragossie” — J. Potockiego oraz „Szywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego” — J. Weyssenhoffa.

Wśród zaplanowanych pozycji książkowych z literatury klasycznej obcej widnieją m.in.: pierwsze dwa tomy 11-tomowych „Dzieł” A. Czechowa, „Utwory wybrane” M. Gogola, „Opowiadania” — B. Grigorowicza (literatura rosyjska); „Szkariatne godło odwagi” — S. Crane’a (literatura amerykańska); „Barnaba Rudge” — K. Dickensa i „Tono Bungay” — H. G. Wellsa (literatura angielska); „Trzy królestwa” — Lo Kuan-czunga (literatura chińska); „Modesta Migon” — H. Balzaca i wznowienie „Wyspy pingwinów” — A. Franca; „Księga gniewu” — A. Heinego, „Intronizacja” — A. Zwijskiej oraz wznowienie „Czarodziejskiej góry” — T. Manna.

(Wytułiliśmy pozycje, godne na szym zdaniem szczególnej uwagi miłośników książek).

Czy szkło ugrze stal?

Szkło, jako materiał zastępujący stal i metale, zyskuje coraz powszechniejsze zastosowanie. Na ostatnich Targach Poznańskich czeski przemysł szklany zaprezentował szklane rury ze szkła „SIAL”, odporne na działanie substancji chemicznych, na zmiany temperatury, a równocześnie odpowiadające w sposób idealny wymogom higieny. Znanie są już w Czechosłowacji tzw. „szklane młyny”. W Niemiec Republice Demokratycznej skonstruowano ostatnio plug, w którym użyto twardego, prasowanego szkła, grubości około 25 mm na odkładnicę (lemiesz pozostał stalowy).

Wyrabiane są również brony, w których rolę stalowych zębów pełniły płytki szklane. Trwałość i praca tych części szklanych jest bardzo dobra, a oszczędność stali duża.

NA RYKOWISKU

(Dokończenie ze str. 1)

po zwycięskim pojedynku zajął z kolei drugie miejsce. Takie jest prawo puszczy...

Siedziałem i słuchałem chrapliwego szeptu płynącego z ust człowieka w futrze.

Od leżącego opodal zagajnika, czerniejącego na tle księżycowego blasku zerało się nagle przeraźliwe ryczenie. Trąbienie wibrowało mutacją, dźwięczało jak syrena w puszczańskim głuszy, przypominało beczenie wyrosłego ciela. Jeleni dał się przeciągać, aż skończył dyszkantem...

Człowiek w futrze zmarszczył twarz w uśmiechu — pobłażliwie. Pogroził tulką w stronę zagajnika i powiedział:

— Smarkacz! Jeszcze nie jego kolej. Przypomina starszym, że ich następcy dorastają. To jest także prawo puszczy.

„Smarkacz” niecierpliwił się, fukał i prycał, krepił się, łamał gałęzie, bił raciami leśne poszycie.

Człowiek w futrze patrzył w stronę zagajnika, przyłożył tulkę do ust i zaryczał niskim, groźnym basem. Jeszcze nie urwał, a już podniósł się łoskot w gąszczu i drzące beczenie przeraźliwego „smarkacza” zagłuszył tętent jego raczych nóg.

Wędrując wśród gwiazd księżyc bez przerwy odmierzając

czas nocy. Tajemniczy wyraz zastąpił w oczach człowieka w futrze, który mówił dalej:

— Gdy pierwsze szrony pokryją ziola w puszczy, a zwieryzna płowa łśni pełnymi bokami, nastaje u niej czas rui. Jelenie rozpoczynają rozmawiać swoim językiem. Tylko w tym okresie porozumiewają się z sobą. Poza tym milczą przez cały rok; jak ryby. W taki czas nocy jesiennych puszcza zaczyna grać muzykę. Okres godów jelenich, pora rykowisk. Nie rozeznaś się w mowie jeleni, jeżeli nie kochasz puszczy i zwierzyzny. Droga do ich poznania jest długa, męcząca, wymagająca cierpliwości. Aż nadchodzi dzień, gdy rozróżniasz ich głosy i rozumiesz mowę... Przykładasz wówczas muszlę do ust i nagle czujesz, że one cię słuchają, odpowiadają na twoje wezwanie. Gwarzysz z nimi, sam stajesz się jednym z głosów. Choć noc ciemna, czujesz je blisko, nieledwie widzisz. Siedzisz w sercu puszczy, las dokoła ciebie i w tobie... Wzruszasz samotnego władę do walki, dołączasz tęskną prośbę do jego łani, wabisz młode jelenie, głosem pełnym buńczucznej chęlności, bądź udawanego lęku. Zbierasz wokół siebie puszczańskich korowód weselny, jesteś ich wodzirejem, prowadzisz tan weselny w blasku księżyca.

Sam jesteś w takiej chwili panem puszczy, częstką odwiecznej przyrody...

W kniei cichło. Z milnkących głosów z trudnością wyławałem ostatnie tony: ich natężenie i barwę...

...Człowiek w futrze zapalał długo papierosa, wstawał po woli z pnia, wzdrygnął się, szczerzej otulał. Chłód spływał z migoczących gwiazd. Powiedział potem:

— Tak wygląda rykowisko...!

Następnie kaszlał długo i męcząco.

Szliśmy ku drodze. Szron wybielił trawy, spopielili igłowie, wysrebrzył brzozy.

Smugi reflektorów samocho-dowych wtargnęły w po-świata wiszącą nad traktem; mdle i czerwone. Zanim doszliśmy do wozu, przystanęliśmy i powiedziałem do nadleśniczego:

— Dzisiaj siedziałem z twarzą zwróconą w stronę puszczy...

— Tak! Wielu jest takich, którzy siedzą do niej plecami — chrapliwie odparł nadleśniczy.

W głosie jego wyczułem ton tamtego człowieka. Człowieka w futrze...

MARIAN JAŚKOWSKI

TAD. H. NOWAK



MA JUZ TEGO DOŚĆ

Kobiety należące do Kościoła Metodystów w pewnej gminie szkockiej zmuszone będą odtąd używać do karminowania swoich warg szminki, która nie pozostawia żadnych śladów. Takie zalecenie padło z ust ich księdza w czasie kazania. Okazało się bowiem, że pastor ma już dość ciągłego usuwania różowych znaków ze wszystkich przedmiotów, kultu religijnego, na których niewiasty chętnie składają pocałunki.

CHŁODEK RAZ!

Jedna ze stacji radiowych w stanie Nowy Jork wprowadzi z początkiem przyszłego sezonu letniego niezwykłą oryginalną audycję. Mianowicie, w czasie największej kankiły nadawany będzie szum wodospadów, szmer strumyków, dźwięk wpadających do szklanek kawałków lodu oraz głos kroków stąpających po skrzypiącym śniegu. W ten sposób radiostacja chce dostarczyć swoim słuchaczom złudzenia przyjemnego chłodu...

CZY POMOŻE?

Dentyści w Rio de Janeiro dyskutowali na jednym ze swoich dorocznych zebrań o kłopotach związanych z krewkami pacjentami, którzy doprowadzeni do szalu bólem zębów napaść na niekiedy czynnie stomatologów. Wśród wielu projektów przeszedł jeden, który ma zapewnić im bezpieczeństwo. Uradzono, że wszyscy dentyści przejdą kurs dżiu-dżitsu (japońska sztuka samoobrony).

Przedsiębiorstwo JEDNOOSOBOWE

Sztuka felietonu jest zaraźliwa. Należy do tych chorób, które choć rzadkie, atakują właśnie tym silniej. Oczywiście ofiarą pada najłatwiej organizm podatny. Jeśli chodzi o felieton jestem, jak mi się zdaje, organizmem podatnym.

Infekcja nastąpiła niedawno. Przekażalem dla „Nowego Świata” urocy drobniak bawarskiego felietonisty Emmericha pt. „Sztuka dla sztuki”. Sądziłem jednak, że jestem bardziej odporny. Uległem już pierwszemu zdanom przekładu: „Sztuka felietonu polega nie na tym, by pisać na temat, ale na tym, by się obchodzić bez tematu. Zamiast tematu jest pretekst. Pretekstem może być każdy guzik od spodni”.

Postanowiłem: napiszę felieton! O temat mniejsza. Skoro wystarczy pretekst, skoro wystarczy guzik, ja za punkt wyjścia wezmę na przykład literata. A więc literat. Literaci... Cóż za oryginalna kasta ludzi. Pełna dziwacznych uroszczeń, chimeryczna, budząca tyle sprzecznych opinii. I do tego w naszym życiu uystematyzowanym aż do najdrobniejszych przejawów, stwarza nie lada trudności. Trudności klasyfikacyjne. Przyprawiają one o zamęt myślowy niejednego poczciwca służbiste, dla którego świat wygląda tak prosto jak równa drabinka hierarchii urzędniczej.

Bo proszę sobie wyobrazić pierwszą z brzegu sytuację. Literat zgłasza się, by zarejestrować swego pieska.

— Pan gdzie pracuje? — pyta referent.

— Jestem literatem.

— To znaczy, gdzie pan pracuje?

— Ja?... Już mówiłem. Jestem literatem. Piszę książki, artykuły...

— Nie o to pytam. Gdzie obywatel pracuje? Inni czekają...

Czasem rozmowa przebiega w myśl innego schematu. Telefonicznego.

— Halo! Czy Związek Literatów?

— Tak, proszę?

— Czy jest Eugeniusz Pauksza?

— Nie, nie ma.

— Jak to, przecież Związek Literatów?

— Tak.

— No więc, jakże? Już pół do dziewiątej. Od której się u was pracuje?

— Od dziewiątej.

Po godzinie:

— Czy jest pan Pauksza?

— Nie ma.

— Czy chory? Dlaczego nie pracuje?

— Ależ zdrowy. Pracuje*).

— Więc dlaczego go nie ma? Jaka u was dyscyplina? Halo! Czy to na pewno Związek Literatów?

* Pracuje. I to jak. Zajrzyjcie do planów wydawniczych. Tomek, Tomiś, Tomuska!

Schemat, schemat. Niepoko, gdy coś się odchyli. Dla wielu mieszkańców naszego miasta dzień w obdrapanym domu na skraju parku Moniuszki czy Chopina (nie wiem nigdy czy to Chopin stoi w parku Moniuszki czy też odwrotnie) wygląda następująco:

Godzina ósma rano. Prezes Naganowski zapala światła i spogląda surowo na listę obecności. Jeszcze brak trzech spóźnialskich: Fiedler, Odowski, Degler.

Właśnie wsunął się cichutko pan Arkady. Wpisuje obecność. Wyszukuje na sali swój stolik, zasiada do dwu następnego rozdziału „Półwyspu Gulliwer”. Jest to powieść po dróznica o losach młodego Polaka, zagubionego w dziewicznych puszczech Antarktydy.

Na sali trzydzieści stolików. Trzydzieści literatów pochy-

ła się nad papierem pod surowym okiem szefa, który też nie próżnuje, przeglądając nowy plik materiałów do powieści biograficznej o Martinie Andersenie Nexö. Ma jednak czas na dogład pracy personelu. Raz po raz zwraca uwagi.

— Koleżanko Ilakowiczówna! Proszę prędzej kończyć ten liryk! Całą godzinę siedzicie nad jedną zwrotką. W ostatnim miesiącu wasza wydajność spadła. Piszecie wiersze po cztery zwrotki, dawniej pisaście po osiem. Jak my w takich warunkach możemy przekroczyć normę. Pytam się jak?

Albo:

— Kolego Rogalski! Proszę się nie zamyślać. Na marzenia będzie czas po trzeciej. Kończcie szybciej ten artykuł o Döblinie. Centrala Zbytu Twórczości Literackiej telefonowała dwukrotnie, by zafakturować w końcu ten artykuł.

Potem z uznaniem kiwa głową Eugeniuszowi Paukszczie, który kończy pisać dwudziestą szóstą stronę zaczętej dziś rano powieści o radosnych rybakach z Jeziora Maltańskiego pt. „Kawalerowie — Przdownicy Maltańscy”. Następnie prezes oddziału obarcza Bogusława Kogutą odpowiedzialną funkcją kontroli technicznej. Chodzi o kontrolę techniczną literatów pracujących pod hasłem: „Ja nie napiszę braku!” lub „Mój poemat świadczy o mnie!”. Wreszcie uspokojony wraca do M. A. Nexö.

Żart? Zapewne trochę żartu, ale dalebóg, nie jeden telefon do obdrapanego domu przy ul. Noskowskiego o takich wyobrażeniach świadczy. Ostatecznie można by je darować owej dziewczynce, która tak natarczywie wypytywała matkę.

— Mamusi, w jakiej fabryce pracowała Matka Boska?

— Co też ty dziecko wygadujesz? Daj mi spokój.

— Ale powiedz mi, w jakiej fabryce pracowała Matka Boska?

— Nie pracowała w żadnej fabryce, dlaczego pytasz?

— Musiała pracować w fabryce. A jak Pan Jezus dostał się do łóżka?

Jakże często jesteśmy jako te dziatki!!!

* * *

— Gdzie pan pracuje?

— Jestem literatem.

— Dobrze, dobrze panie. Ja pytam poważnie. Gdzie pan jest zatrudniony?

Wymyśliłem sposób. Odpowiadam:

— Jestem jednoosobowym przedsiębiorstwem usługowo-kulturalnym. Oto legitymacja mego związku branżowego, ZLP.

Lypie oczyma. Wygląda na to, że nareszcie zaczął coś nie coś pojmwować.

— A, a, produkujecie coś także, czy tylko usługi?

— Jakżeby — odpowiadam dumnie. — Jak najbardziej. Ostatnio na jakieżś w Warszawie postanowiono nawet przesunąć nas z drobnej wytwórczości do przemysłu średniego (oj, średniego, średniego — wszyscy krytycy twierdzą to stanowczo). Nie czytał pan?

Drapie się w głowę.

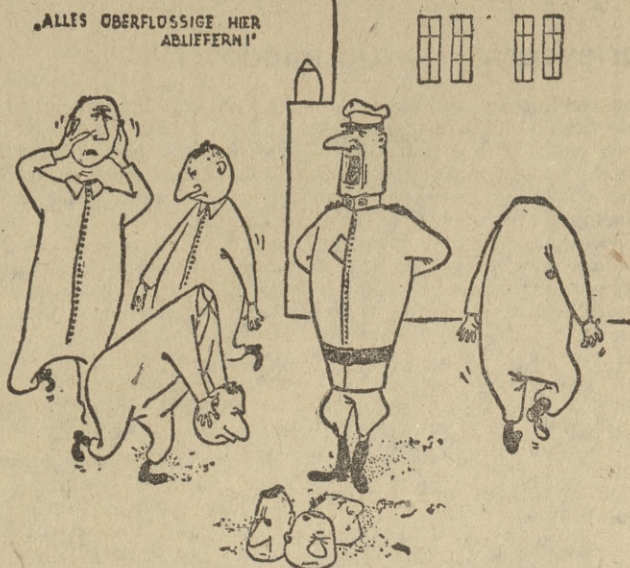
— Coś tam istotnie czytalem. Pracujecie w domu jak chałupnicy Cepelli?

— Ooo! Właśnie. Pracujemy i to niemało, nielekko. Tyle że chałupniczo. W domu, proszę obywatela.

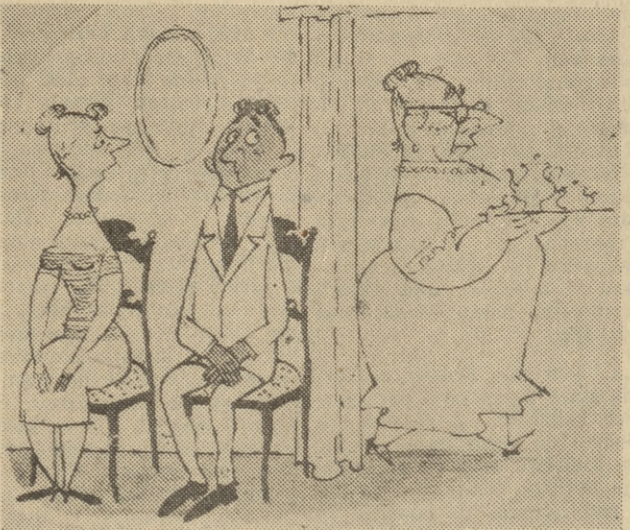
Pamiętajcie zatem: jednoosobowe przedsiębiorstwo usługowo-kulturalne z narzutem produkcyjnym. Tak należy oceniać trzydziestu „niepasujących” ludzi, jacy się kołaczą po Poznaniu.

Na tym można by chyba zakończyć ten felieton. Felieton prawie bez tematu. Z literackim pretekstem.

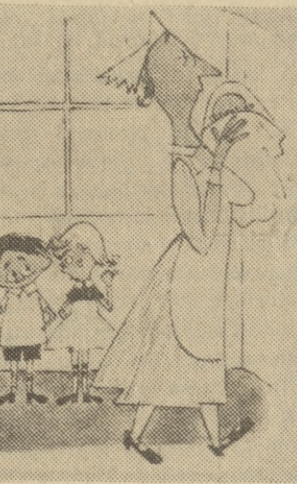
Z satyry niemieckiej



W KOSZARACH NOWEGO WEHRMACHTU
— Wszystko, co zbędne należy zostawić.



— Jestem zdumiona twym brakiem zdecydowania!



— Wszystko głupota — i z tym bocianem, i z tym, co mówisz! Setki bachorów mogą sobie tutaj wybrać w klinice!

Rys. Karol Schrader

Józef Ratajczak

Wyznanie

Wiem, mój pomysł całkiem do „bani” i nikogo z pewnością nie wzruszy — lecz kłaniałbym się wciąż pewnej pani choćbym nosił dziesięć kapeluszy.

W każdej chwili — miałbym sto czułości, tysiąc ust, by całować bez przerwy, bez szemrania wiele uwag bym znosił, jak tygrysa ujarzmiłbym nerwy.

Otoczyłbym ją setką ramion ażeby głowę kłoniła w podzięcie... Lecz, niestety, nie ukryję przed paną, przynosiłbym tylko jedną pensję.

Ryszard Podlewski

(Z listów Wiktorii Bzdurskiej)

RESZTA

Po prostu obawiam się wyjść po zakupy. Nie dlatego, że czasem trzeba czekać w kolejce, tylko z powodu reszty. Wczoraj na przykład było tak: Poszłam kupić puszkę szprotek za 21 zł i 50 gr. Dałam ekspedientce 100 zł, a ona nie chce brać i mówi: Niech pani przyniesie drobnymi 21 złotych 50 groszy, bo nie mam pani wydać! Dopiero kiedy zaprzysięgałam się na wszystko, że nie mam drobnych naprawdę, wtedy okazało się, że może wydać, ale nie pieniędzy. I tak: 3 złote i pięćdziesiąt groszy wydała mi pudełkami zapalek, po 25 groszy sztuka. Następne 5 złotych wydała mi kostkami bulionowymi, potem dodała mi słoik fasolki w occie za 6 złotych i 70 groszy, a kiedy powiedziałam, że nie chcę, bo Józek tego strasznie nie lubi, wytłumaczyła mi, że nie muszę tego jeść — mogę postawić w kuchni na szafie, bo to bardzo estetycznie wygląda. U nich w sklepie też stoi już dwa lata i tylko przy inwenturze się odkurza słoiki. Powiedziałam, że nie mam potrzeby niczego ozdabiać, bo mam wspólną kuchnię i na estetyce mi nie zależy. Ona zdenerwowała się, ale zmusiła mnie bym wzięła, bo inaczej nie wyda mi reszty. Mogę ostatecznie przynieść jej jutro słoik z powrotem, to ona zamieni mi go na inny towar. Co miałam robić? Wzięłam. Do pełnych 10 złotych dodała mi znów kostek bulionowych. Miałam już

towaru i reszty za 40 złotych. Do pięćdziesięciu wydała mi butelkami od wódki — po ziółtówce sztuka, ale ponieważ zaważają jej w sklepie, więc wybrała mi same litrówki. Pieniądze te same, a za to w sklepie więcej miejsca. Pozostałych 50 złotych wydała mi pół na pół: lepami na muchy i pieniędzmi.

Obładowana towarami wracałam do domu, ale ponieważ transport ten przekraczał moje możliwości, bo nie byłam na przygotowana, zanim zaszłam do mieszkania sztukam 6 złotych i zgubiłam 12 złotych 50 groszy w kosztach bulionowych. Józek bardzo się dziwił, że poszłam tylko po puszkę szprotek, a wracam po godzinie ze łzami w oczach i bez puszek... bo okazało się, że zajęta niesieniem reszty, nie zauważyłam, kiedy puszka wypadła mi spod pachy i zginęła.

Później miałam jeszcze inne kłopoty z tego powodu że sąsiadkami, bo pies sąsiadki — strasznie łakomy, siedzi za mną i zjadł zgubione kostki bulionowe. Poczuli po nich ogromne pragnienie, więc wypili drugiej sąsiadce wiadro deszczówki do mycia głowy i zdechl przez pęknięcie z przepicia.

No i co w tym dziwnego, że obawiam się chodzić po zakupy?

WIKTORIA

Włodzimierz Scisłowski

Fraszki

Anonim

Nie spodobał się małpie głos rozsądnej sowy, bo bli w małpie przywary i w małpie narowy. Więc z trudem zebrałszy małpie myśli tępe rozpoczęła walkę ze sowim postępem. Raz w ślinie spiwającej z plugawego pyska umoczyła swój pazur, którym kudły iska, i plując nabazgrała niezdarłych słów sto nim, po czym sowie posłała. Tak powstał ANONIM.

Moralistce

Nie chowaj wdzięków swych pod listek! — Rzekiem do jednej z moralistek. I nie schowała. Lży się lży. Bo liś lopuchu był za mały.

Fraszka matrymonialno-okulistyczna

Oczkiem w głowie była dla cie, a cóż teraz jest, mój stary? Pewnieś patrzył wtedy, bracie, przez różowe okulary...

Paweł Rewicz

Z nienapisanego pamiętnika

MOJA ŻONA

Piątek, trzynastego. Nigdy do tej pory nie zastanawiałem się nad tym. Po prostu nie przyszło mi do głowy. Bądź co bądź żyjemy z sobą siedemnaście lat.

Dopiero wczoraj, wczoraj otworzyły mi się oczy. Zaczęło się zgła niewinnie. Wstałem lewą nogą. Prowadzę niesłychanie unormowany tryb życia i od dawien dawna wstawałem zawsze prawą nogą. Gdy powiedziałem o tym mojej żonie — oświadczyła, że niepotrzebnie przejmuję się głupstwami. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem: „Ta kobieta ma wybitnie drobnomieszczańską mentalność”

Odkrycie to wytrąciło mnie z równowagi, przypomniałszy jednak sobie o lewej nodze, wróciłem do łóżka i przeleżałem pół godziny jak gdyby nigdy nic. Potem wstałem prawą nogą.

Przy goleniu wyróżnałem lokciem w lustro. Rozpękło się na tysiąc kawałków. Każdy kulturalny człowiek wie, że to oznacza siedem lat niepowodzeń. Tymczasem moja żona pokwitowała katastrofę pogardliwym wzruszeniem ramion i sardonicznym uśmiechem.

Tak postępuje członek kolektywu małżeńskiego? Jej brak uświadomienia i bezduszny stosunek do spraw bytowych wstrząsnął mną od podstaw. W związku ze słuchaczem lustrem splunałem trzy razy przez lewe ramie, ale nie jestem pewien czy to wystarczy.

W czasie śniadania wysypałem sól. Wyspana sól to kłótia. Mimo, że sprawdziło się natychmiast, moja żona uznała za stosowne zbagatelizować ten pod każdym względem oczywisty fakt... Tak, jakkolwiek trudno mi było w to uwierzyć, rzeczywistość mówiła sama za siebie. Kobieta, którą pojąłem za żonę, była bez wątpienia obciążona drobnomieszczańską małostkowością.

Dla zabezpieczenia się przed dalszymi komplikacjami, jakie przynosi zazwyczaj rozsypanie soli, odpukałem siedem razy w niemalowane drzewo.

Kiedy wychodziłem z domu, drogę przebiegł mi czarny kot. Próbowałem zawrócić, ale czarny kot wielkimi susami okrążył mnie dwukrotnie. Stałem w miejscu jak wryty. Moja żona, która obserwowała ową scenę z okna, zaśmiała się do łez. Strach pomyśleć jak bardzo jest przesiąknięta naleciałościami minionych bezpowrotnie czasów.

Stałym zapewne na trotuarze w kręgu wyznaczonym przez czarnego kota do końca świata. Na szczęście w polu widzenia pojawili się jednocześnie kominarz, pusty karawan i biały koń, co jak powszechnie wiadomo jest wypróbowanym antidotum na wszelkie



W I KLASIE

— A więc słuchaj uważnie! Jeżeli masz trzy ciastka w kieszeni i wyjmiesz z niej trzy, co tobie pozostanie? — Okruszymy...!

Zdanie mora'ne

Pewien poeta przyniósł do krytyka dwa wierszowane utwory z zapytaniem: który by z nich wolał?

Krytyk przeczytał pierwszy i rzekł nie oglądając już następnego:

— Wolę tamten.
— Kiedyś go pan jeszcze nie czytał...
— Właśnie dlatego!